

Pierzchała Tomek

Sąd Boży

Z „Science Fiction” nr 8 - wrzesień 2001

Dla Pauliny

*(...) Sprawy mroczne i ogromne,
Świat na naszych oczach kona.
Wszystko wina to masona,
Ze o Żydzie tutaj już nie wspomnę (...)*

Jacek Kaczmarski - "Źródło wszelkiego zła"

Prolog

Nikt nie przypuszczał, że Łukasz okaże się być spowiednikiem. Wydawał się być takim porządnym gościem... Pamiętam tę noc doskonale, trzynasty kwietnia Roku Pańskiego 2019. Moje czterdzieste urodziny.

Urządziliśmy sobie z kolegami z pracy małą imprezę - przecież czterdzięci lat kończy się tylko raz w życiu. Z początkiem tego tygodnia minęły Święta Wielkanocne - bardzo zresztą dla naszego Wydziału pracowite - i zakończył się Wielki Post. Nazajutrz nie musiałem iść ani do pracy, ani na nabożeństwo, bo przecież nazajutrz była sobota, mój ulubiony dzień tygodnia!

Siedzieliśmy w zasnutym papierosowym dymem salonie i graliśmy w brydża. Objadaliśmy się przy tym pysznymi kanapkami przygotowywanymi dla nas na bieżąco przez Paulinę (moja żona od piętnastu lat, potwierdzona klinicznie zdolność do posiadania potomstwa, nieposzlakowana opinia katoliczki do trzeciego pokolenia wstecz) w ilościach zdolnych wykarmić cały batalion polskiej armii oblegającej Czeskie Budziejowice.

Późną nocą, po kolejnym, chyba już piątym z kolei piwie (napój alkoholowy spożywany w nadmiernych ilościach - artykuł 17, paragraf 144 Kodeksu Moralności Obywatelskiej, spodziewany wymiar kary: całotygodniowa pielgrzymka do Częstochowy i/lub grzywna w wysokości 20% pensji), kiedy przychodzi taki czas, że człowiek licytuje szlemika z dwiema blotkami, zesłaliśmy na temat naszych planów związanych z początkiem maja. Powiedziałem wtedy, że raczej nie mam zamiaru pokazać się na Pochodzie Trzeciomajowym, bo wybieram się z Paulina i dzieciakami w góry, gdzie mieliśmy wybudowany domek letniskowy. W związku z tym świętem państwowo-kościelnym - większość świąt od czasu zmiany Konstytucji ma taki charakter - zapowiada się długi weekend, a ja jestem mocno przepracowany (fakt), poza tym powinienem trochę побыć z rodziną (też fakt).

Co prawda ani Paulina, ani Mikołaj z Julką, nigdy nie narzekali na brak zainteresowania z mojej strony, ale lepiej, żeby przełożeni nie dowiedzieli się, że przez pracę zaniedbuję swoje "podstawowe obowiązki wobec podstawowej jednostki społeczeństwa katolickiego", czy jak to tam stoi w naszej Konstytucji. Mogłoby się skończyć na tym, iż Szef, naciskany przez Episkopat, nie przyzna mi w tym miesiącu premii prorodzinnej, a my ciągle mieliśmy do spłacenia nowy spinner i musieliśmy liczyć każdy grosz.

Ciężko było wyżyć z pensji analityka. Nawet w stołecznej, krakowskiej komórce Wydziału Cywilnego Urzędu.

Firma

Urząd Ochrony Obywatela powstał po radykalnych zmianach Konstytucji - w tym zmianie nazwy państwa na Polską Rzeczpospolitą Chrystusową - i pod koniec pierwszej dekady XXI wieku, z przekształcenia Wojskowej Służby Informacyjnej i wcielenia do niej UOPu, do którego, spełniając swoje marzenia, wstąpiłem w 2003, zaraz po ukończeniu studiów politologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Przez te kilkanaście lat zauważyłem, że moje wyobrażenia o pracy stróża prawa w Polsce są mocno wyidealizowane. Szczególnie zaś zaczęły one podupadać po pamiętnej zmianie na stanowisku kierownika Urzędu w 2009, kiedy to jego długoletni Szef, pułkownik Zbigniew Nowak, został zastąpiony przez podpułkownika Jerzego Święckiego, mającego poparcie Episkopatu.

Zbiegło się to w czasie ze zmianą Konstytucji. Wtedy to przestał istnieć UOP. Instytucja, która pojawiła się w jego miejsce, podlegała zupełnie innemu prawu, choć nadal zachowała status wywiadu i kontrwywiadu cywilnego, połączonego z państwowym biurem śledczym. Został jednak zniesiony jakikolwiek cywilny nadzór nad nią i kontrola jej działań ze strony tak Rady Ministrów, jak i Sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych. Tę ostatnią notabene rozwiązano jako zbędną.

Równocześnie powołano do życia trzeci pion Służb Specjalnych wchodzących w skład Urzędu Ochrony Obywatela - Korpus Diakonów. Szefowie trzech Wydziałów - Cywilnego, Wojskowego i Duchownego - sprawowali kolegialny zarząd w Urzędzie.

Rozmowa przeniosła się na pracę. Temat musiał zostać zainspirowany przez Łukasza. Chociaż... Może po prostu skorzystał z okazji?

Firma, jak piśmiennie mówiliśmy o Wydziale Cywilnym Urzędu, miała ostatnio straszne problemy z przemysłem holofilmów pornograficznych z heretyckiej Ukrainy, a nawet ateistycznych Czech, pomimo że te ostatnie były szczelnie izolowane z powodu toczącej się wojny. Same tylko aresztowania skorumpowanych celników i przemytników oraz przesłuchania świadków byłyby w stanie wykończyć Supermana, a ja oprócz tego przez ostatnie dwa miesiące siedziałem czasem w biurze do rana, opracowując dane do raportów.

Co gorsza, zupełnie nic nie zapowiadało, żeby coś miało się poprawić w najbliższym czasie w tej kwestii.

W myśl Ustawy o Wychowaniu w Wierze, w Polsce cybernetyka - ten wytwór zgniłej moralności i bezbożnej techniki Zachodu - jest objęta ścisłą prohibicją. Ośrodki reedukacyjne pełne są "zadrutowanych", choćby tylko mieli najprostszy na świecie implant oka Nikkona, który zapobiega wszelkim wadom wzroku lepiej niż jakiegokolwiek szkła korekcyjne. Szczególnie zaś nam, funkcjonariuszom państwowym, którzy powinni dawać przykład reszcie społeczeństwa, również nigdy nie było wolno korzystać z cybernetyki. Choćby z prymitywnych sprzęgów neuralnych. Wobec tego wszystkie raporty z przesłuchań, najgłupsze noty i zawiadomienia musieliśmy wpisywać ręcznie z terminali, tak, jak robiło się to ze dwadzieścia lat temu. Cholernie męcząca i czasochłonna robota.

Na domiar złego w naszym Wydziale pojawiali się od czasu do czasu diakoni, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, jak nam idzie "dekompozycja prawosławnej siatki szpiegowskiej". Faktem jest, iż w ramach Ustawy o Połączonej Kontroli Przeszłości mają absolutne prawo do wglądu we wszystkie sprawy kryminalne, gdzie zachodzi choćby cień podejrzenia, że są również zbrodniami religijnymi. Im zupełnie nie wystarczały tłumaczenia, że ci, których łapiemy, to tylko detaliści, zwykle po prostu nie wiedzący nic o sobie nawzajem, a nie żadna zorganizowana rosyjska akcja propagandowa. Diaki tego po prostu nie chciały zrozumieć! W każdym razie ja tak sobie myślałem.

Ano, właśnie... Zdaje się, że lekko już wstawiony - pół żartem, pół serio - powiedziałem kilka dosadnych słów o swoich podejrzeniach co do nadgorliwości u funkcjonariuszy policji duchowej... Słów, których dziś już nawet nie chcę cytować. Słowa nigdy nie są niczemu winne.

Już nazajutrz, gdzieś o siódmej rano, ciężko skacowany, usłyszałem walenie do drzwi, które rozlegało się w mojej głowie niczym wystrzały z dział przeciwpancernych na froncie południowym. Ledwie otworzyłem, na wpół przytomny, w slipkach, wydeptanych kapciach i nie dopiętej flanelowej koszuli, dwóch diaków ubranych w czarne mundury natychmiast skuło mnie paskami samozaciskowymi, a trzeci - oficer w cywilnym szarym prochowcu - odczytał akt oskarżenia i moje prawa. Przecież taka była procedura aresztowania. Artykuł 23, paragraf 5, ustęp 2 Kodeksu Karnego...

Na resztę, której wygłoszenie zajęło mu dobrą chwilę, jakoś nie zwróciłem uwagi...

Dom

Nic nie pomogły tłumaczenia, że to jakaś pomyłka, powoływanie się na legitymację służbową. Wszelką dyskusję oficer ucinął tym swoim my-się-nigdy-nie-mylimy głosem. Nie pozwolono mi nawet wykonać telefonu do Szefa. Diakoni byli, jak zwykle zresztą, nieugięci i fanatycznie oddani temu, co robią. Widziałem ich kilka razy w akcji, gdy towarzyszyłem im w aresztowaniu dysydentów, ale w życiu przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś będę grał główną rolę w tym ich spektaklu.

Oficer odebrał mi zresztą legitymację i delikatnie zasugerował, żebym oddał mu broń służbową. Nie chciałby wpisywać w protokole, że "stawiałem zbrojny opór funkcjonariuszom wykonującym czynności aresztowania".

Ubierałem się już pod strażą zelotów, jak się potocznie mówi o technikach bezpieczeństwa Diakonu. Rodzina chyba nie do końca zdawała sobie sprawę, co się dzieje. Zresztą - co mogą wiedzieć o procedurach śledczych? Dzieciaków z pewnością o tym nie uczą - czy to na obowiązkowych katechizacjach, czy też w tych wszystkich kontrolowanych przez diakonów organizacjach młodzieżowych w stylu "Młodych Krzyżowców". A w multimedialnych programach "Chleba Powszedniego" S.C.? W audycjach tego największego koncesjonowanego przedsiębiorstwa ewangelizująco - umoralniającego nie ma najmniejszej wzmianki na temat, co tak naprawdę dzieje się w kraju.

Złe rzeczy - katastrofy, porwania, zabójstwa i gwałty - zdarzają się tylko na zgniłym Zachodzie i odszczepieńczym Wschodzie. Wniosek jest jeden: są źli, więc Pan Nasz Jezus Chrystus doświadcza ich z całą swoją surowością. My natomiast, zgodnie z doktryną neokatolicyzmu, jak świat światem jesteśmy Narodem Wybranym. Narodem uświęconym Jego łaską i pod Jego opieką. Dlatego wszyscy wokół nam zazdroszczą i chcą podstępem lub przemocą przejąć władzę w naszej wspaniałej Ojczyźnie. Nie wahają się wykorzystywać do tego dwulicowych agentów w naszych szeregach, ukrytych dysydentów, działających na szkodę Państwa Polskiego.

Takie rozumowanie doprowadziło do wojny z Czechami, która zaczęła się od niewinnego incydentu granicznego w Czeskim Cieszynie. Trwa ona już od trzech lat, a zaangażowane są w nią znaczne środki ekonomiczne i gospodarcze oraz potencjał militarny Polski. Ostatnio serwisy donoszą, że wygrywamy, choć mówiły to także sześć miesięcy temu, kiedy oblężenie się zaczynało. "Zdobędziemy Budziejowice, przejdziemy Wełtawę i Praga nasza!" "Trójka" ciągle pokazuje zdjęcia naszych dzielnych chłopców.

Jednak ci nasi dzielni chłopcy, ze wszystkich stron ujmowani w imitującej trzy wymiary holowizji, nie ruszyli się od pół roku ani krokiem na południe...

Wojna XXI wieku nie polega już na oblężeniach i atakach frontalnych. Teraz doktryna wojenna jest zupełnie inna: likwidować strategiczne cele z istic chirurgiczną precyzją - centra dowodzenia, centra komunikacyjne, zakłady produkcyjne, elektrownie. Skuteczność tego postępowania została udowodniona całemu światu pod koniec zeszłego wieku, przez USA przy okazji akcji amerykańskich w Zatoce Perskiej i Kosowie. Widać polska generalicja wzięła sobie do serca te nauki..

Do Budziejowic, w wielkiej tajemnicy, którą (jak wszystkie zresztą polskie sekrety wojskowe), cechowało to, iż Sztab Główny roztrząbił o niej wszem i wobec, wysłano naszą chlubę, jednostkę do zadań specjalnych "Grom".

Jedynym zaś osiągnięciem elitarnego oddziału "Grom" było wysadzenie w powietrze fabryki ołówków "Koh-i-Noor". Do dziś nikt nie wie, skąd oni otrzymali takie rozkazy?...

Podłożem zaś zerwania stosunków dyplomatycznych z Ukrainą i Białorusią były swobody religijne mniejszości narodowych na wschodnich terenach przygranicznych naszego kraju. Neochryścianizm, jak pogardliwie mówią o naszej religii państwowej apostaci ze Wschodu, rzekomo tępił wszelkie przejawy nieprawomyślnego, prawosławnego myślenia. Wspomniane kraje, inspirowane oczywiście z Moskwy, pod pretekstem obrony praw swoich mniejszości, uprawiać miały wrogą nam propagandę i utrzymywać siatkę szpiegowską na naszych terenach.

Ostatnio nastąpiło także zaostrzenie stosunków z RFN, gdyż tamtejsza partia CDU/CSU ostro potępiła postępowanie Kościoła Wszechpolskiego wobec pewnej wewnętrznej akcji, przeprowadzonej w początkach tego roku. Chodziło o internowanie w Centrach Pokuty, jak zwą się placówki resocjalizacyjne dla przestępców i dysydentów, wszystkich osób, które w ten czy inny sposób opowiedziały się za wolnością przekonań religijnych. O ile MSZ odpowiedział klasycznym zapewnieniem o "dołożeniu wszelkich starań", nadmieniając równocześnie o "suwerenności władz państwowych w granicach własnego terytorium", o tyle Episkopat natychmiast wyskoczył z odezwą utrzymaną w nie-będzie-Niemiec-pluń-nam-w-twarz tonie. Berlin zapowiedział apel do Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka. Ale przecież Czesi też o tym kiedyś mówili. A teraz muszą ginąć w obronie Budziejowic.

Do rzeczywistości przywróciło mnie szturchnięcie kolbą szturmowego karabinu P-22.

Miasto

Dzieciaki wyrwane ze snu: pięcioletnia Juleczka, z kciukiem w tym swoim słodkim pyszczku, tuląca do siebie kudłatego misia, którego dostała ode mnie na drugie urodziny; dziesięcioletni Mikołaj, z otwartą buzią, przecierający nadgarstkami oczka, gapiący się z mieszaniną przerażenia i fascynacji na wielkie,

czarne karabiny szturmowe zelotów. Paulina, w króciutkiej nocnej koszulce z błękitnego jedwabiu; zaciskająca dłonie w pięści, odgarniająca tymi pięściami opadające jej na twarz niesforne kosmyki rudych włosów, które tak uwielbiałem; ze łzami w ogromnych, brązowych jak u misia Juleczki oczach; zagryzająca usta, żeby nie wybuchnąć płaczem...

Widziałem to wszystko, popychany korytarzem ku drzwiom wyjściowym. To był ostatni obraz mojej rodziny, jaki zapamiętałem i jaki miałem pamiętać przez długi, długi czas. Wtedy bardziej bałem się o nich niż o siebie.

Wyprowadzili mnie na ulicę, gdzie na rogu, mimo tak wczesnej pory, jakiś licencjonowany przez Kościół Wszechpolski ewangelizator nawoływał przepisowo zgromadzony tłumek kultystów (w przepisowej liczbie minimum trzech osób) do miłości i braterstwa w imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Kiedy kaznodzieja zobaczył mnie, prowadzonego w eskorcie uzbrojonych zelotów do opancerzonego policyjnego spinnera, zaczął natychmiast energiczniej wymachiwać rękoma i wykrzykiwać obraźliwe epitety pod moim adresem. Po raz pierwszy ktoś nazwał mnie w jednym zdaniu heretykiem, transwestytą, apostatą, Żydem, pedofilem, satanistą, komunistą, bluźniercą, nazistą, mużulmaninem i homoseksualistą. Jak się miało okazać - nie po raz ostatni... W każdym razie, dostarczyłem mu tematu do następnego, pewnie ponad dwugodzinnego kazania.

Jakieś szczeniaki, przerywając zabawę w "diakonów i heretyków", zaczęły pokazywać mnie sobie palcami, a na ich twarzach pojawiły się grymasy odrazy przemieszanej z zaciekawieniem. Chwilę później z jazgotem obskoczyły zaparkowany tuż za strefą mieszkalną spinner. Gdyby nie podrasowany refleks jednego ze strażników, kamień rzucony w moim kierunku wyrzynałby mnie prosto w twarz. Ech, piękny materiał na "Młodych Krzyżowców" nam rośnie...

Zostałem brutalnie wciśnięty na tylnie siedzenie pomiędzy moją obstawę, spinner uniósł się w powietrze i korytarzem zastrzeżonym dla służb specjalnych pomknęliśmy w kierunku centrum Krakowa, ku diecezjalnemu komisariatowi policji duchownej. Jedyne, co pamiętam z tej przygnębiającej podróży, to sącząca się z radioodbiornika kiczowatą muzyką sacropolo w wykonaniu, zdaje mi się, grupy "Michael" i potworny ból przegubów, dzięki specyficznym właściwościom pasków zaciskowych, które wrzynały się w ciało coraz głębiej z każdym poruszeniem.

Po prawie półgodzinnym locie (nawet korytarze dla VIPów w dzisiejszych czasach bywają zapchane), co i tak było szczytem osiągnięć pilota, łamiącego przepisy ruchu powietrznego średnio co piętnaście sekund, spinner osiadł na dachu Diakonu przy placu Wszystkich Świętych. To mnie mocno zaskoczyło. Byliśmy w centrali Korpusu Diakonów.

Coś tu się bardzo nie zgadzało.

Diakonat

Wywleczono mnie z pojazdu i poprowadzono do środka, najpierw w dół windą, a potem sterylnie czystymi, szarymi korytarzami archidiecezjalnego posterunku policji duchownej, z tysiącem zakrętów i rozgałęzień, oświetlonymi z sufitu przydymionym światłem jarzeniówek. W końcu stanęliśmy przed drzwiami - z prawdziwego drewna! - z napisem wykonanym pseudogotycką czcionką. Aż mnie zmroziło. Spodziewałem się wszystkiego, ale...

Archidiecezjalne Biuro ds. Herezji i Apostazji. Wszystko jasne! Wiedziałem już, dlaczego zostałem przewieziony na komisariat archidiecezjalny, a nie diecezjalny, czy po prostu parafialny. Tu chodziło o dużo poważniejszą sprawę niż "znieważenie organu bezpieczeństwa państwowego dokonane w stanie upojenia alkoholowego odurzenia narkotykowego". Coś takiego (bluźnierstwo, większe, podpadające pod paragrafy Kodeksu Moralności Obywatelskiej) można było załatwić w jednostce najbliższej samorządnemu obywatelowi, w parafii.

Zeloci ustawili mnie we w miarę pionowej pozycji i, na skinienie oficera, odeszli. Ten ostami otworzył przede mną złowieszcze odrzwia i kurtuazyjnym gestem zaprosił do środka. Wszedł za mną.

Biuro było niewielkim, skromnie acz gustownie urządzonym pokoikiem z drewnianym biurkiem i szafką na akta w rogu. O ile się na tym znam, to był dąb, a nie żaden tam syntetyk. Wydali na to chyba cały półroczny budżet państwa!

Wbudowany w blat holomonitor pokazywał właśnie wiadomości z frontu południowego. Jakiś szeregowiec w panterce dumnym gestem unosił nad głowę "nieśmiertelniki" zerwane czeskim żołnierzom, którzy polegli z jego ręki. Pod spodem mignął napis "na żywo".

Aha, transmisja z Budziejowic. Temat numer jeden dla wszystkich koncesjonowanych "trójkowych" stacji nadawczych, czy sieciowych serwisów multimedialnych.

Oczywiście tych dopuszczonych na rynek medialny. W ramach dbania o czystość moralną narodu rząd stosuje ścisłą reglamentację i cenzurę informacji. Na posiadanie dostępu do światowej sieci informatycznej trzeba mieć specjalne zezwolenie. To powoduje, że dostęp taki mają nieliczni, najbardziej prawomyślni obywatele. A i oni są na bieżąco sprawdzani, jak ten dostęp wykorzystują.

Potem po ekranie przesunął się rząderek cyfr, podający idące już w setki ofiary po jednej i po drugiej stronie. Czesi mieli ich oczywiście zdecydowanie więcej. Serwisy nie informowały tylko o jednym drobnym, aczkolwiek istotnym szczególe: o tym, że na każde dziesięć osób zabitych przez naszych dzielnych chłopców, tylko dwie są żołnierzami wroga...

Nie ma dźwięku. Tylko obraz. Zdjęcia kręczone z ręki, świetna dynamika.

Plan amerykański; oszalały czeski cywil, w przebitce na poły zasypana mogiła, zbliżenie - cywil schyla się i wyciąga z grobu coś małego, pokurzonego, odzianego w przybrudzone błotem szmaty, zbliżenie, łzy płyną po twarzy, odjazd, złorzeczy żołnierzom wymachując pięściami, zbliżenie, oni pozują oddziałem nad masowym grobem, prezentując karabiny, zbliżenie na uśmiechnięte twarze, jeden odwraca się w bok, grymas niszczy harmonię, usuwa się poza kadr, odjazd, reszta żołnierzy coś ku niemu krzyczy, śmieją się, wskazując na coś, najazd na lewo, cywil leży w kałuży krwi, odjazd, plecy tego, który wyszedł z kadru, maszeruje niosąc karabin oparty o ramię, najazd w prawo, żołnierze rozchodzą się, rozmawiają uśmiechnięci...

Cięcie!

Ukazuje się czerwony napis: "Zabijajcie wszystkich. Bóg rozpozna swoich".

Uwikłaliśmy się w wojnę religijną?! Jakiś pieprzony dżihad?!

Oficer trącił mnie w ramię. Przeniosłem wzrok z holomonitóra w głąb pokoju.

Za biurkiem, obok obszernego, dębowego, a jakże, fotela wyściełanego miękkim, brązowym aksamitem, stał mężczyzna w wieku około lat sześćdziesięciu. Jego twarz była mi dobrze znana z programów "trójki". Ale media zawsze przedstawiały go jako dobrotliwego staruszka, który tylko potrafi marszczyć krzaczaste brwi i grozić palcem o starannie wypielęgnowanym paznokciu. W tym otoczeniu wyglądał nieco inaczej.

Przez głowę przebiegły mi plotki, jakie krążyły o nim u nas w Firmie. Podobno osobiście nadzorował pojmanie znanego dysydenta i heretyka, generała Artura Wójcika, oskarżonego o sabotaż i współpracę z czeskim wywiadem wojskowym. Generał w kilka minut po aresztowaniu popełnił samobójstwo, wyskakując z lecącego spinnera. Jak do tego doszło, dlaczego zeloci z eskorty nie upilnowali więźnia - o tym wszystkim nie było wzmianki w raportach dla Urzędu. Okoliczności związane z tą sprawą nigdy nie zostały do końca wyjaśnione, zarówno nasze media, jak i, o dziwo! nawet pirackie stacje milczały na ten temat jak zakłete. Prawdziwy przebieg wypadków rzekomo do dziś leży u nas w archiwach opatrzony klauzulą "ściśle tajne", do wglądu wyższych funkcjonariuszy duchownych i elit wojskowych.

Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się o tym od jednej z asystentek Szefa. Powiedziała mi kiedyś, że grzebiąc w wewnętrznej sieci Urzędu w poszukiwaniu jakichś ważnych informacji dla Szefa, natknęła się na ciężko zalodzony plik opatrzony kryptonimem "Kardynał". Oczywiście nie śmiała go tknąć, nie potrafiłaby go pewnie zdekodować, nawet gdyby przedarła się przez logiczne oprogramowanie defensywnego systemu.

Ale przecież to tylko biurowe plotki...

Prawda jest zaś taka, że Józef kardynał Karczewski, jezuita, przed którego obliczem teraz stałem, założył Korpus Diakonów i po dziś dzień kierował jego działalnością. Był więc odpowiednikiem mojego Szefa, podpułkownika Święckiego. Ale co, do cholery, robił w regionalnym Diakonacie?

Wszystko wyjaśniło się w kilka sekund. Przybył specjalnie na moje przesłuchanie.

Moje i większości moich kolegów z Wydziału, jak się miało wkrótce okazać.

Nakazał mi usiąść i głosem ciepłym niczym zamrażarka na Biegunie Północnym wyjaśnił, że nie będę miał formalnego, jawnego procesu. Tak będzie lepiej dla Państwa. Wydział Cywilny zostanie skompromitowany. Kolejny spadek i tak już nadwreżonego zaufania publicznego pozbawi dowództwa Święckiego, który, zdaniem Episkopatu, jest zbyt mało oddany Sprawie.

"W naturalnym procesie dziejowym rewolucja się radykalizuje". Kto to powiedział? Bernstein? Lenin? Robespierre?

To o to chodziło! Kolegialne kierownictwo przestało już komukolwiek odpowiadać?! Walczą o władzę na szczycie, bawią się w te swoje gierki, intrygi i podchody, a cierpią na tym wszyscy, którzy nieopatrznie dostali się w tryby maszyny. Ci na górze boją się, że szarzy ludzie zadziałają na te tryby jak ziarnka piasku? Sprawa jest więc prosta. Usunąć ich i zastąpić bardziej oddanymi sobie funkcjonariuszami. A teraz po prostu znaleźli pretekst.

Procesy zaoczne przed Trybunałem Inkwizycyjnym są w naszym prawodawstwie prawomocną instytucją, a mój - jak mnie poinformował oficer - odbył się dziś rano, zanim mnie aresztowano. Mam tylko podpisać przyznanie się do winy. Dziś już wiem, że te procesy odbywają się zgodnie z doktryną niesławnego Andrieja Wyszyńskiego: „Dajcie mi człowieka, a ja znajdę na niego paragraf”. Nic więc dziwnego, że od początku swego działania Trybunał nie wydał jeszcze uniewinniającego wyroku.

Oficer podsunął mi pióro świetlne i elektroniczną kartę z wyliczeniem kilkudziesięciu artykułów Kodeksu Karnego. Nawet nie wiedziałem, że są tam takie artykuły! A biorąc pod uwagę mój zawód - powinienem był o takich rzeczach wiedzieć.

Wyłaniał się z tego jeden podstawowy zarzut. Herezja. Typowe przestępstwo dysydenckie. Po nim zwykle następowała fala oskarżeń - po najcięższe przestępstwa włącznie: lewicowość, działanie na szkodę państwa, a także kontakty z obcym wywiadem.

Nie bardzo wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć. Ja - dysydem?

Zaoponowałem, chciałem wiedzieć, co konkretnie mi się zarzuca, na jakiej podstawie, ale opór nic nie dał. Wszelkie moje pytania kwitowane były spokojnym, lakonicznym: "podpisz" ze strony oficera. Rzuciłem w końcu piórem przez biurko, tak, że walnęło w ścianę i pękło na pół. Wtedy kardynał wzruszył ramionami. Na jego gest, który wykonał w kierunku kamery wiszącej w rogu pokoju, do środka wszedł Łukasz. Zapytany, czy mnie rozpoznaje, skinął tylko głową. Nie spojrzał na mnie ani razu. Ja też nie miałem specjalnej ochoty go oglądać. Widziałem kątem oka, jak oficer uśmiechnął się lekko, kiedy go odprawiał.

Widziałem też, jak kardynał wstukował w klawiaturę zintegrowanego z holomonitorem terminala mój PIN. Natychmiast pokazało się moje pełne dossier. Cholera, wiedzieli nawet, jak często korzystam z usług sieci spowiedniczej "Dobry Pasterz" S.A.! Jezuita pokiwał tylko lekko głową i wskazał mi ostatni zapis, który niespodziewanie pojawił się w ostatnim fragmencie dossier. Datowany był na dzisiejszy ranek, na godzinę dziesiątą - zegarek podpowiedział mi, że jest wpół do jedenastej.

"Obiekt postrzelił ze skutkiem śmiertelnym z broni służbowej podpułkownika Jerzego Święcickiego podczas prywatnego spotkania". Obok tego komunikatu był odnośnik i informacja, że scena zbrodni została zarejestrowana przez kamery systemu bezpieczeństwa Firmy.

Chciałem rzucić się w kierunku kardynała, ale żelazny uchwyt oficera na moim ramieniu zatrzymał mnie w miejscu. Tamten, jakby zupełnie nie zauważył mojej reakcji, kiwał nadal swoją siwą głową, jakby chciał powiedzieć: "To mogło wyglądać zupełnie inaczej".

Uderzył jeszcze raz w klawiaturę, uruchamiając zapis. Na ekranie pokazało się znajome biuro Szefa. Święcicki siedział przy swoim terminalu, odwrócony plecami do kamery, zajęty rozmową telefoniczną. Nagle odwrócił się w kierunku niewidocznych drzwi, rzucił słuchawkę na widełki i...

...na jego piersi wykwitły dwie krwawe plamy. Uniósł ręce z blatu ku górze, w rozpaczliwym geście, by zatamować krwawienie, ale nie zdążył. Kolejne dwie kule ułożone w okolicach jego serca sprawiły, iż zatoczył się i upadł na podłogę pod biurko, przewracając przy tym fotel. Sekundę później na ekranie mignęła czarna sylwetka, lufa wycelowanego w kamerę pistoletu - nie mam dziś wątpliwości, że to był mój prawie zabytkowy Armalite, model z roku 2005 - plunęła ogniem, a już w następnej chwili nagranie emitowało tylko biały szum.

Jezuita i oficer wpatrywali się obojętnie w śnieżący ekran holomonitora.

Centrum

I oto cała historia. Resztę znam już z relacji "trójki".

Kilka dni później media podały, że Wydział Cywilny Urzędu Ochrony Obywatela został rozwiązany ze względu na „permyśwną postawę wobec wrogów katolickiego społeczeństwa polskiego”. Media dorzuciły jeszcze coś o tym, że Firma była „ostatnim bastionem zinstytucjonalizowanej herezji i żydokomuny na ziemiach polskich, lecz na szczęście nasze mądre społeczeństwo, wiedzione sprawiedliwą ręką Pana, rozpoznało ukryte Zło i przyczyniło się do jego wyplenienia”.

Serwisy informacyjne podały także, że podpułkownik Święcicki został zastrzelony w wyniku wewnętrznych porachunków pomiędzy podległymi mu masonami z Łoży Wielkiego Wschodu. Wszyscy dysydenci szefowie departamentów Firmy zostali uwięzieni, a następnie w trybie doraźnym skazani przez Trybunał Inkwizycyjny na karę śmierci za zbrodnię przeciwko Jedynej Prawdziwej Wierze. Relacje z egzekucji były prezentowane w "trójce" na żywo.

Potem media przeszły do informacji z frontu południowego. Nasi dzielni chłopcy zdobyli przyczółki na drugim brzegu Wełtawy i w kraju zapanowała euforia.

Z szeregowych funkcjonariuszy mojego Wydziału jedynie ci, którzy ze szczerego serca złożyli przed Trybunałem obciążające współoskarżonych wyznanie i dobrowolnie podpisali kartę Sześciu Podstawowych Artykułów Wiary, uzyskali częściowe zwolnienia z pobytu w ośrodkach reedukacyjnych. Pozostali pracownicy Firmy, także po zamkniętych procesach inkwizycyjnych, dostali "tylko" wieloletnie, oczywiście zaoczne, wyroki w Centrach Pokuty.

Ja znalazłem się wśród owych pozostałych. Dowiedziałem się potem - już po kilku tygodniach pobytu w ośrodku resocjalizacyjnym w Jaworznie - od jakiegoś współwięźnia, który miał podobno dobre kontakty ze strażnikami, że wielu moich kolegów z departamentu analiz było gośćmi kardynała jeszcze wcześniej niż ja. W tym i ci, którzy byli na mojej imprezie urodzinowej. Wiem, że wszyscy naiwnie myśleli to samo - że niechcący coś palnęli. Coś, za co można iść siedzieć.

Część z tych, których kardynał zaszczylił osobistą rozmową, podpisała podobno natychmiast przyznanie się do winy. Część nie. Ta druga część także była manipulowana na różne sposoby, a jeśli była oporna - w końcu przeszła tryb przesłuchania, który i mnie nie ominął. W ostatecznym rozrachunku Diakonat uzyskał efektywność 99% przyznających się do przeróżnych zbrodni przeciwko polskiemu katolicyzmowi. Ten 1% to po prostu margines błędu oficerów śledczych - ludzie, którzy nie wytrzymali fizycznie procedury przesłuchania. Niech spoczywają w pokoju. Mieli więcej szczęścia niż ja i mnie podobni, którzy przeżyli.

Z tego przesłuchania naprawdę niewiele pamiętam. I to jest chyba jedyny pozytywny aspekt całej tej sprawy. Właściwie ciągle byłem na prochach - ktoś o coś pytał, ja coś odpowiadałem, ktoś krzychał (a może to ja krzychałem?), potem bił, nie pozwalał spać, ja znów odpowiadałem. Po paru dniach dali mi spokój. Myślę, że dowiedzieli się wszystkiego, czego potrzebowali - a nawet więcej. Obawiam się, że były momenty, kiedy błagałem, żeby słuchali tego, co mam im do powiedzenia...

Przewieziono mnie do Centrum w Jaworznie i zostałem więźniem numer katalogowy SK 130 479.

Podczas dziewięciogodzinnej kwarantanny wysłuchałem standardowego powitania dla wszystkich nowoprzybyłych, emitowanego przez elektroniczny układ nagłaśniający i zapoznałem się z rozkładem dnia. Pobudka o piątej rano, poranna msza, śniadanie, praca od szóstej rano do dziewiątej wieczór z piętnastominutową przerwą na obiad i modlitwę w południe, kolacja i wieczorna msza; potem cisza nocna od dwudziestej drugiej. Nie omieszkało mi również podać wszystkich moich praw i obowiązków. Jak mogłem się domyślić - tych pierwszych nie było praktycznie wcale, tych drugich zaś... Ech... Przeszedłem także podstawowe badania profilaktyczne, a przy okazji zaimplantowano mi w podstawę czaszki nadajnik - lokalizator. Tak na wszelki wypadek - gdyby mi się na przykład zachciało uciekać z tej fortecy, której otoczenie naszpikowane jest wieżyczkami strażniczymi jak dobre ciasto bakaliarni.

Zakwalifikowano mnie do grupy więźniów politycznych (żółty trójkąt) i pod eskortą dwóch uzbrojonych i zakutych we wspomaganie hydraulicznie pancerze bojowe strażników odesłano na odpowiedni oddział. Prowadzący mnie mieli nieregularnie otwarte przyłbice, śmiali się i rozmawiali w najlepsze, nie zwracając na mnie zupełnie uwagi. Po pewnym czasie ja też przestałem ostentacyjnie zwracać na nich uwagę i ciekawie rozglądałem się po moim nowym mieszkaniu. Mieszkaniu do końca życia. Bo średnia życia w Centrum nie przekracza dwóch lat. A są to oficjalne, mocno zawyżone dane.

Stanęliśmy przed żelazną bramą do głównego budynku. Był parterową, okrągłą bryłą z żelbetonu. Pierwszy strażnik wystukał kod na płycie sensorycznej i czekał, przytupując z niecierpliwością. Ale czerwone światło nad bramą nie miało zamiaru zmienić się na zielone. Drugi strażnik zaklął pod nosem i pancerną rękawicą przyłożył prosto w sterownik drzwi. Światło zamrugało i przeskoczyło na pozycję "gotów". Jęknęły zawiasy, a brama rozsunała się, ukazując wnętrze windy. Jeden z pancernych klawiszy popchnął mnie do środka tak, że odbiłem się od przeciwnej ściany. Z poziomu podłogi zobaczyłem, jak ten drugi naciska guzik z żółtym trójkątem, umieszczony na samym dole tablicy kontrolnej.

Zaczęła się przejażdżka na poziom dla "politycznych".

Epilog

Wyjście z cichej windy wprost w gwar więzienia nie należało do przyjemnych przeżyć. Na ścianach, w każdym chyba wolnym miejscu, umieszczone były głośniki. Właśnie nadawały transmisję jakiegoś nabożeństwa. Wszędzie rozbrzmiewały echa pieśni religijnych. Jeśli tak ma wyglądać reszta mojego życia - to nigdy nie wyjdę stąd o zdrowych zmysłach!

Wtedy spotkałem Michała... to znaczy więźnia numer katalogowy KR 151 281, który kiedyś pracował ze mną w departamencie analiz. Oczywiście, jego represje też nie ominęły. Nie dowiedziałem się nigdy, jak tutaj trafił, bo było to nasze jedyne spotkanie, bez słów. Kiedy mijaliśmy się na korytarzu, jeden z moich "opiekunów" pchnął mnie na ścianę i zakazał mi się odwracać, dopóki nie pozwoli. Ale przez sekundę

zdążyłem w spojrzeniu mojego towarzysza niedoli dostrzec ocean rezygnacji. To były oczy człowieka złamanego. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że tak muszą wyglądać również moje oczy...

Szliśmy potem długimi, sterylnymi korytarzami, po których kręcili się inni Strażnicy - wszyscy tak bardzo do siebie podobni, że pomyślałem, iż chyba rodzą się w miotach - ale nie napotkaliśmy już innych więźniów. Zatrzymaliśmy się w końcu przed moją kwaterą. W środku, poza mną, mieszkało jeszcze pięciu innych politycznych.

Moje najgorsze przewidywania się sprawdziły. W czterech rogach oświetlonej jarzeniówkami celi ustawione były, a jakże, holomonitory. Na wszystkich ekranach siedł ten sam program ewangelizujący, nadawany przez "Chleb Powszedni" S.C., pokazujący wnętrze jakiegoś klasztoru i zgromadzone w nim staruszki.

Umieszczone pod sufitem szczekaczki zawodziły monotonnym: "Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie...".

Wtedy też po raz ostami odwiedziła mnie żona z dziećmi. Przyszła tylko po to, by powiedzieć, iż wystąpiła do Episkopatu z wnioskiem o unieważnienie naszego małżeństwa. Nie winię jej za to. Ciężko być żoną dysydenta. A i maleństw nikt nie będzie wytykał palcem w szkółkach niedzielnych jako dzieci heretyka i wroga narodu.

Pożegnanie było paskudne. Stałem w pokoju widzeń w szarym, jednoczęściowym kombinezonie z jakiegoś marnej jakości tworzywa sztucznego, z wymalowanym od szablonu czarną farbą w sprayu numerem na lewej piersi i naszytym żółtym trójkątem na prawej; z rękami i nogami zakutymi w kajdany, ogoloną głową i kodem kreskowym wytatuowanym na potylicy. Po drugiej stronie grubej, kuloodpornej szyby (kogo oni właściwie chcieli chronić? i przed czym?) stały wszystkie trzy osoby, które kiedykolwiek coś dla mnie znaczyły, i były skrupulatnie sprawdzane przez strażników. Dopiero po jakimś czasie pancerna szyba podniosła się z sykiem. Weszli i zatrzymali się przy wyznaczonej linii. Minimum dwa metry ode mnie.

Staliśmy tak jeszcze z pięć minut po tym, jak Paulina skończyła mówić. Potrzebowała tylko mojej formalnej zgody, więc kiwnąłem głową. I znów ta cisza...

Wyciągnąłem rękę, żeby choć po raz ostatni jej dotknąć, ale nawet gdyby nie przypadł do mnie strażnik i nie uderzył mnie kolbą swojego ręcznego działka kaliber 5.56, łańcuch łączący parę kajdan na rękach z tymi na nogach i tak skutecznie uniemożliwiłby mi osiągnięcie kogokolwiek.

Kiedy, lekko ogłuszony, pozbierałem się z podłogi, oni już wychodzili. Jeszcze tylko Juleczka, trzymana na rękach przez matkę, odwróciła główkę i - a może tylko mi się zdawało? - wyszeptęła:

- I tak cię kocham, tatusiu, nieważne, co zrobiłeś...

* * *

Dziś musi być niedziela, początek października A.D. 2020. Nie wiem dokładnie, który to dzień. Straciłem rachubę dawno temu. Jutro, jak co dzień, z wyjątkiem tylko pierwszej niedzieli miesiąca, znów idziemy do pracy. Pracujemy w elektrowni nuklearnej, wybudowanej w miejscu starej, węglowej. Nie wiem, jak długo jeszcze pociągnę. Nie nosimy ubiorów ochronnych, a stos jest słabo ekranowany. Ja nie mam najgorzej... Przynajmniej nie pracuję przy odpadach... Jak ten stary GD 240 384, który, zanim umarł, przekazał mi ten przemycony zeszyt i kawałki ołówka.

Dlatego mogę pisać tę historię.

Wczoraj donieśli, że Praga zdobyta. Niedługo pewnie pojawią się nowi, z Czech. Może dostaniemy wtedy trochę wolnego... ? Może oni nas zastąpią? Wszystkim nam przydałaby się regeneracja...

Ale nie oszukujmy się, nie sądzę, żebym doczekał tego dnia. Rak rozwija się w zastraszającym tempie. Na jedno oko nie widzę zupełnie, a drugie też nie jest w najlepszej kondycji...

Słyszę kroki. Strażnicy. Cholera, jeszcze zrobią rewizję i stracę zapiski!

Dość na dzisiaj, kończę, bo do jutra muszę być wypoczęty. Nie chcę znowu oberwać od strażnika. Ostatnio mam takie kruche kości... Jednym uderzeniem złamał mi rękę, tak po prostu... I za to, że nie mogłem pracować, przez dwa tygodnie żyłem na głodowych racjach, chleb i woda...

Poza tym robi się coraz ciemniej... Dziwne... Przecież jesteśmy głęboko pod ziemią... Tutaj zawsze jest takie samo światło...

Tomek Pierzchała

Skawina, 16 -18.03.2001